

## Prolog

W więzieniu szybko zaczynasz skupiać się na pierdołach.

Nagle interesuje cię zatem brud na ścianie, liczba podłogowych klepek, krzak rosnący na podwórzu, żwir pod butem, sam but i jego sznurowadło, odłupany fragment cembrowiny otaczającej wyschniętą fontannę, dziura w ścianie, martwa żarówka, kurek nieczynnego kranu, trup muchy na parapecie i tak dalej, i tak dalej. W głowie rysuje ci się mapka zapchana przez tysiące pierdół i pół biedy, jeśli są to tylko szczegóły otoczenia. Niestety z czasem zaczynają interesować cię inni: istne panopticum osobliwości. Ten bowiem stęka, tamten patrzy jakoś krzywo, kolejny ma chropowate łapy, a ostatni – fafluni spomiędzy warg i straszy cię kataraktą.

Pierdoły zaczęły męczyć mnie jesienią, mniej więcej rok po moim przybyciu. Zapewne gdyby to było prawdziwe więzienie, miałbym co innego do roboty. Cóż to bowiem za ciupa: pełna starców i z jednym tylko strażnikiem? Czy raczej: z naszym najdroższym skarbem. Wciąż drepczemy wokół niego jak przerażone kruki i zerkamy: czy za moment nie spowije go bladość, czy nie chwyci się dramatycznie za serce? Czy nie padnie nagle ze szklistymi oczami... w których odbiją się jeszcze pękające mury naszego sanktuarium.

Jeszcze pół roku temu nie obchodziło mnie, czy tak się stanie. Tysiąc razy podchodziłem do zardzewiałej bramy, chwyciłem mosiężną klamkę... i tysiąc razy wracałem. Wygląda na to, że nadal chcę żyć. Zabawne.

Zacząłem pisać. Tydzień temu padł mi laptop: działał jeszcze siłą rozpędu i resztkami zasysanego prądu. Zdołałem – na szczęście – wydrukować niemal wszystko co wklepałem na klawiaturze przez te ostatnie miesiące, korzystając z pamiętającej lepsze czasy drukarki HP LaserJet 1200 i teraz wytrzeszczam w zdumieniu oczy. Druk w ostatniej chwili! Czysty cud! Poezja.

Co do reszty: wszystko leży w samochodzie tak, jak to zabrałem feralnego dnia naszej ucieczki. Gazety, kserokopie, zdjęcia, nagrania. Jest nawet pięknie wydrukowana i nigdy nie otwierana książka, wersja w twardej

oprawie. Ocalał i stary maszynopis. Nie wiem, po co zabrałem te wszystkie śmieci.

Po śmierci laptopa wytrzymałem dzień bez pisania, patrząc na otaczające mnie starcze gęby, słuchając jęczeń i próśb o pomoc. Chodziło rzecz jasna o pierdoły, bo o cóż by innego? Tego krzyż bolał, tamta płakała o zmianę pieluchy, a kolejna zadręczała mnie gładzeniem na temat córki, którą myliła z siostrą a obie - z własnym mężem.

Szybko zauważyłem, że nie ma przed nimi ucieczki. Jeśli widzieli, że kręciłeś się bez zajęcia, zaczynali włożyć ci na głowę. Robili to podstępnie i niby małym, nieśmiałym kroczkiem - uczepiali się jednak z niesamowitą siłą przylegając jak wygłodzone niemowlęta. Niewielu ich zresztą zostało. Części nie upilnowałem: ci uciekli z naszego więzienia sami, wcześniej pakując mizerny dobytek do waliz lub wychodząc radośnie w pidżamach za wciąż otwartą bramę. A pozostali? Zdwoili wysiłki i stali się podwójnie męczący. Natura nie znosi próżni.

A zatem: pisanie. Na początku wmawiałem sobie, że to z ich powodu, że trzeba czymś się zająć... ale prawda jest taka, że męczyła mnie jakaś gorączka. Pisać, pisać.. trzeba opisać to wszystko! Udokumentować! Dla potomności! Z tą potomnością to oczywiście przesada. W każdym razie: pisać! Tylko na czym?

Po laptopie dorwałem się do starych kalendarzy. Znalazłem je w szafie pokoju dyrektorskiego. Obwoluty ze sztucznej skóry pokrywała gruba warstwa kurzu - nikt z nich nie korzystał, tak samo jak z długopisów i ołówków leżących w jednej z szuflad. Najwidoczniej, zanim personel zwiął, preferował komputery: na biurku stał, nieco już pożółkły i teraz martwy, Macintosh. Niepotrzebny szmelc. Złapałem za najsolidniej wyglądający terminarz, chwyciłem w garść ołówek i wyszedłem na zewnątrz.

Na dziedzińcu o tej porze dnia było pusto. Gdyby któryś ze starców mnie zauważył to pewnie zostawi w spokoju, widząc, że mam zajęcie. Usiadłem więc na ławce i wziąłem się do roboty. Ale ręczne pisanie okazało się potworną mordęgą. Litery wychodziły mi jakieś koślawe: zanikała litera „a”, „n” wyglądało jak „r”, a znaków interpunkcyjnych zupełnie nie

mogłem dostrzec. Krótko mówiąc: nie potrafiłem się rozczytać. Uwsteczniłem się przez wieloletnie stukanie w klawiaturę. Rzuciłem kalendarze w kąt, a potem, tknięty dziwnym przeczuciem, zszedłem do piwnic.

Okazały się prawdziwym grobem przestarzałych sprzętów. Wśród pudeł, paczek, zapomnianych choinek z plastiku, pojemników, tektur i foliowych worów znalazłem wreszcie to, czego szukałem: czarną maszynę do pisania marki Olivetti i trzy ryzy papieru. Podniecony znaleziskiem, ekshumowałem te zapomniane szczątki do swojej celi. Byłem uratowany!

Pół ostatniej ryzy nieco zamokło, ale nie sądzę bym wypełnił te wszystkie strony. Dziś w każdym razie zacząłem, a – biorąc pod uwagę wydruki – jestem już w połowie! Świetna sprawa. Jest nawet zapas barwiącej taśmy! Prawie dziesięć pudełek i to zupełnie suchych! W trakcie żmudnej procedury instalacji maszynowych wałków, upačkałem sobie dłonie. Ale kiedy wkręciłem białą kartkę, poczułem, że to jest TO.

Po pierwsze: metalowe pałeczki z literkami wydają niesamowity dźwięk. Słuchając go, zaczynam rozumieć, co pisarze cenili w tym charakterystycznym trzasku powstałym przy uderzeniu metalu o papier. Po drugie: niesamowity jest sam proces pojawiania się słów. Litery po prostu są w-y-b-i-j-a-n-e i przez to jawią się jako coś trwalszego niż piksele. I po trzecie: papier i farba PACHNĄ. Cudowny zapach! To uspokaja.

Piszę zatem, do końca nie wiedząc, czy to ma sens. Dobrze chociaż, że wszystko tu pamiętam. Piszę o nich, o niej. I o nim. To pewnie bezcelowe zajęcie. Po co to robię? Nie wiem.

To chyba wina mojego zawodu. Pan dziennikarzyna i pisarzyna. Ale nie tylko. Jest we mnie jakaś śmieszna potrzeba powkładania określonych fragmentów do odpowiednich pudeł i szuflad. Pragnę przybić stemple, pyknąć zszywaczem, nakleić karteczki z adnotacją. Wierzę, że tak jest bezpieczniej: gdy wszystko popakuję i wrzucę w ciąg liter, określę i zamknę. Jak stary, wychudzony chomik chce ładować informacyjne graty do kartkowej dziury, a wszystko w szalonym amoku porządkowania i segregowania.

Zabawnie to musi wyglądać z zewnątrz: zupełnie jakbym biegał w

kółko z naręczem papierów, pocąc się nad maszyną. Wzrok mam błędny,  
krok nerwowy, dyszę z wyczerpania. Co teraz będzie, co będzie, olaboga.  
Cóż pocznę?! Co teraz, co teraz. A teraz - już nic. Tylko nerwowa  
krzątania przed końcem balu karzełków.